

Perec Markisz urodził się w 1895 roku w miasteczku Połonne w pobożnej rodzinie żydowskiej. Jako chłopiec śpiewał w chórze synagogałnym. Pierwsze wiersze pisał po rosyjsku, ale w 1917 roku przeszedł na jidysz. W latach 1921–1926 przebywał w Warszawie, Berlinie, Paryżu, Londynie i Rzymie. Był poetą, teoretykiem sztuki, autorem manifestów literackich¹. Grupa, do której należał, korzystała z doświadczeń artystycznych futuryzmu i ekspresjonizmu, oryginalność ich polegała na inspiracji pewnymi elementami tradycji żydowskiej. Na Zachodzie żył w skrajnej nędzy, wrócił do Rosji w 1926 roku. Pracował w Żydowskim Teatrze Państwowym w Moskwie. Od 1941 roku aż do jego likwidacji aktywnie działał w Żydowskim Komitecie Antyfaszystowskim. W 1949 roku został aresztowany i po blisko trzyletnim śledztwie i torturach rozstrzelany w 1952 roku. W jego dorobku znajduje się między innymi powieść *Marsz pokoleń* poświęcona powstaniu w getcie warszawskim.

Perec Markisz

Wołyń (fragmenty)

Z jidysz przełożyli Mariusz Kałczewiak i Irad Ben Isaak

I

Leżą pola rozebrane
na bezkresnej zielonej przestrzeni,
z dala od złego oka,
z rozdziawionymi ustami;
kłosy pszenicy kłaniają się jedne drugim,
coś cichnie wypytując,
coś się uciszyło
pszenicznie rozmawiając przez sen.

A wokół mnie czarne lasy,
wysokie, z lokami na głowach,
stoją drzewa, ustawione i gotowe –
weź je! I policz je jedno po drugim!
Jedno starsze od drugiego,
czekają, jak zuchwali młodzieńcy, –

¹ *Warszawska awangarda jidysz*, antologia tekstów pod redakcją K. Szymaniak, Gdańsk 2005.

że ktoś krzyknie,
że ktoś rzuci rozkaz...

Idą dokądś ciche rzeki
szukają szczęścia po okolicy...
Co znajdą na drodze,
to uniosą;
i jak przepelnione kubki,
wypuszczają się w świat,
ciągną się szare brzegi,
wskazują drogę wodom...

III

Przed każdym sztetlem jest przedewsie,
wysoka ściana przy klasztorze,
mur i ogrodzony dom,
obszar ciągnący się do pól;
ściana, może wysoka na wiorstę,
chadzający tamtędy Żydzi, słyszeli
o „zamku” doświadczonym wojnami
toczonymi przez tamten zakątek...

Żyd wybiera ziemię, odśłania źródło,
Żydzi przychodzą czerpać wodę,
a wokół kręcą się inni,
po prostu tak jak to bywa w życiu;
wyciągniesz stamtąd mały kamyczek,
powiedzą, że znaleziono tam
człowieka ze skarbem,
i kto wie, co tam jeszcze może być...

Sięga głębiej, znajduje
monetę z praczasów,
nikt nie może jej odczytać –
zatrzymuje ją na szczęście;
tak latem, jak i zimą
przedostaje się to, przychodzi samo z siebie –
ze sztetla do sztetla
furki jadą w tę i nazad...

Tamtejszymi drogami,
od sztetla do sztetla
konie chodzą bez lejców,
wiedzą dokąd idą;
z naprzeciwnika jadą wozy,
jeden zjeżdża na pobocze,
konie wiedzą, że jest tam pszenica
i stoją na środku drogi...

Jadą koniki, drzemią koniki,
i woźnica też drzemie,
chłopiec trąca go w ucho
żdźbłem słomy;
dobre, niebieskie, głębokie niebo,
szerokie drogi, wąskie ścieżki –
Drzemiesz sobie, Mosze Aaronie?
Nie, broń Boże, po prostu tak!..

IV

Coś śpiewa na drogach
pieśń o braku chęci,
o braku potrzeb, o nieposiadaniu.
Tylko wóz niech jedzie;
gdy nadjedzie coś z naprzeciwnika,
nie ma się co zatrzymywać,
a koła niech sięgają po to,
czego tylko same chcą...

Same drogi się śpiewają,
jedna zaplątana w drugą,
zarzucone na sztetle,
jak sieć z grubego sznurka;
mijają dni i noce, i znowu dni
tamtejszymi szarymi drogami,
przyjeżdżają wozy ze wsi
i wracają z powrotem...

Z czasem przychodzi zmęczenie,
i człowieka nachodzą myśli...

Czy na polach rośnie zboże?
Krowy pasą się razem z trefnymi?
Dobrze rośnie przy drogach,
wozy szarzeją od brzasku,
pasą się rozśpiewane koła,
powoli wyłania się poranek.

Tęskni się tam za jazdą
o jasno-niebieskim poranku,
o złotym brzasku, –
Dokąd? To już nieważne.
Słońce wschodzi na jasnym niebie,
serce pragnie pójść za nim,
gdzieś jechać, gdzieś przybyć,
wyplącić się drobiazgiem...

VI

Kończy się świat nad Horyniem²,
jedynakiem w okolicy,
wśród wołyńskich rzek,
on jest najstarszy, pierworodny;
stracił on i „wnętrze”, i „zewnętrze”
ssie z podziemia i uwadnia,
zawsze pełny, pełny jak kubek –
tylko za ciche błogosławieństwo...

Szerzy się po lasach jak zaraza,
po cichutku łaskocze brzegi,
szarzejący, niebieskawy
od zimna i od gorąca;
„Horyń, Horyń, co chciałbyś”,
co z naszego dobytku, –
lasy szepczą mu do uszu –
weź sobie, weź sobie coś...

Trawy – zieleńsze od drzew,
piaski – miększe od twych wód,
krzewy – gęstsze od lasu,
cień – chłodny tak jak ty sam

² Rzeka na Ukrainie i Białorusi – przypis autora.

praczki, wołyńskie sziksy³,
piorq w rzekach,
śpiewając i śmiejąc się.
„Słyszysz, Horyń, jak idq do ciebie?!”

Strzegq go stare lasy,
jak księcia, jak małego chłopca,
ukryjcie go, porządnie,
chrońcie go od słońca;
pszenica na polach faluje,
z wietrzykiem, z łagodnym
z łagodnym wołyńskim wietrzykiem,
który podarował Bóg Wołyń...

Kręci się Horyń, czegoś chce.
słyszysz nowinę z południa,
będzie mu cicho i zimno i ciepło
i pójdzie sobie gdzieś;
i drzewa będą cichsze i cichsze,
lasy wszczynają burzę,
drzewa hałaśliwie jazgoczą –
niebo staje się jasne i czyste...

VIII

Malutkie sztetle – wielkie ogrody,
ludzie biegają jak żuczki,
znowu kleją się do siebie
jak koła wozu na drodze;
ktoś właśnie usłyszał plotkę,
niesie ją zaraz do sąsiadów,
myśli sobie, że wszystko jest w porządku,
a wszyscy wciąż naśladują grę w prochu...

Nikt nie słyszał tam o czasie,
po kąpieli, serce podpowiada co czynić,
po Kriat-Szma⁴ człowiek idzie się położyć
i wstaje do krów;
tak jest u ludzi,

³ jid., nie-Żydówki.

⁴ Modlitwa żydowska.

krowa idzie paść się na łące,
a gdy wraca wygonem,
na pewno jest już późno.

Z jednej dróżki na drugą
przeskakuje bardzo zajęty Żydek,
kupiec z zawodu,
biegnie i brzęczy jak pszczoła;
ktoś woła do niego z daleka,
łapie go, klepie go po plecach,
i pyta: „Dokąd biegniesz?”
On sam nie wie dokąd...

I nie musi wiedzieć!
– powie „witaj” na „dzień dobry”...
Zresztą co on tam ma, czego mu trzeba
i czego mu do licha brakuje?
Zagryzł usta –
nie trzeba się martwić,
Bóg naszym ojcem w niebie!
Dokąd zmierza świat!..

W chatach rozpalają światło
pośród właśnie zapadłej ciemności,
szperają, szukają po cichutku;
tak jakby coś się zgubiło,
gaszą – gaz jest drogi...
Znaleziono, czy nie znaleziono,
zmęczyli się, są tacy śpiący, –
Śpijcież, śpijcież zdrowo...

X

Przy wjeździe do każdego szetla,
jest kirkut,
a za kirkutem jest szkółka,
z gojską apteką;
jest też szopa pokryta deseczkami,
potrzebujecie kóz, tu znajdziecie kozy,
chcecie zobaczyć gralinę⁵,
to trzeba jechać nad rzekę.

⁵ Gralina srokata – gatunek ptaka (przyp. tłum.).

Przy każdej szkółce jest ogród,
i sad, i pies, który wygląda jak lew,
jest i blaszana tabliczka
na zielono malowanym dachu;
właśnie dojrzewają tam wiśnie,
wcześniej niż we wszystkich wielkich sadach
na płotach są znaki –
nawbijano dużo gwoździ.

Czyje to miejsce, to nabite gwoździami, –
gałęzie opadają tam
wprost do ust, nie lepią się,
pełzną, nie trzeba już rwać,
weź sobie trochę i znikaj,
Mamo moja, tato drogi!
Nic nie zostanie poza drzewami,
za rok będą nowe!

Na chybotliwych schodkach
siedzi chłopiec z kręconymi włosami,
z przyborami w torbie,
i buja się przez cały czas;
ktoś w kaszkiecie,
gwiżdże sobie w szkole, szuka liściku
i czeka się tak, żeby woźny
już wreszcie otworzył.

W szabas chodzi się na spacer,
bez, ten najpiękniejszy, modli się cichutko
„weźcie mnie, chłopcy, weźcie mnie, dziewczęta,
weźcie i nieście mnie środkiem ulicy”,
nie pozwalają mu modlić się zbyt długo
i ukrywają go w sukienkach,
nauczycielka patrzy przez okno
i załamuje się z wściekłości.

A w sadzie to i owo:
wiśnie, śliwki, większe niż pięść
jabłka, gruszki i morele,
nie patrz, nie pytaj, bierz i jedz;

jak maluteńka wieś
stoją w ogrodzie ule –
wsadź palec w wylot ula,
i zapomnij o wszystkim.

Wiśnie rosną sobie cudownie
poprzytulane do siebie,
jak stadko indyków,
przechwalają się tak pięknie;
co szabat przychodzą tu dzieci
i znajomi też przychodzą,
a gdy szkolniczka zadowolona,
sama rozdaje owoce...

XI

Żarzy się gorące lato
dłużącymi, nużącymi dniami,
podniebienie jest spragnione jak niebo,
włosy łaskoczą jak chmurka,
Boże potężny, wielki,
skądże przylatuje tyle much,
nigdy nie było tak dużo –
kobiety mówią tak co roku.

Gdy przestaje prażyć, koniecznie
trzeba się na chwilę położyć,
kto może wytrzymać te muchy,
to kąsanie, ten żar;
cały bazar – leży jak truchło,
zamknięte oczy, otwarte usta
kilka pszczoł kotysze go do snu,
i strzeże dobytku.

Nie ma na to siły
na ten straszny upał,
ulice są pełne pyłu,
a sklepiki są puste;
jeden kramarz idzie do drugiego
siada sobie na chwilę –

tak po prostu pod daszkiem
I zapada cicho w drzemkę...

We śnie, do zaspanego sztetla,
na zamarty bazar,
przychodzi szaleniec
obładowany starzyzną;
w zimowej kapocie,
rozpina trochę koszulę,
idzie cicho, bosi i rozchełstany,
a w ręce trzyma kamień...

Bierze sobie coś spod jatki,
zagląda do opustoszałego sklepiku,
sprawdza wyschłą barytkę
i wylewa się kropla oleju;
coś wpadło mu do szpary –
handlarz rzuca kawałkiem drewna
w stopę jatkowego żartoka,
a ten odchodzi, kulejąc.

Co czwartek i poniedziałek
w osobliwym sztetlu odbywa się
targ, bazar pełen kramów –
handlują, przechadzają się jakby nigdy nic;
kartka krąży,
od jednego do drugiego handlarza,
wznoszą toast kieliszkiem wina –
żeby wstać jutro prawą nogą.

Spakowano już wszystkie kramy
na wozy, na furmanki,
piętrzą się, napakowane wrażeniami
aż do wysokiego, wielkiego nieba;
jeden sztetel jeździ do drugiego,
co tydzień z wizytą,
pozbyć się czegoś
nałapać czegoś w zamian.

Wśród cotygodniowych targów –
miejsc błogostawionych przez Boga,
osobliwe miejsce zajmuje
koński targ za miastem;
z gęstymi lnianymi brwiami
przychodzą tam wysocy, barczyści Żydzi –
znani kupcy,
z długimi siwymi brodami.

Na targi przybywają też
wszyscy sztetłowi zabijacy,
szperają, szukają,
gładko idzie ręka;
złapano starego złodzieja,
przyjmuje uderzenia jak deska,
tłuką, walą,
jakby rozpoznali kradzionego konia.

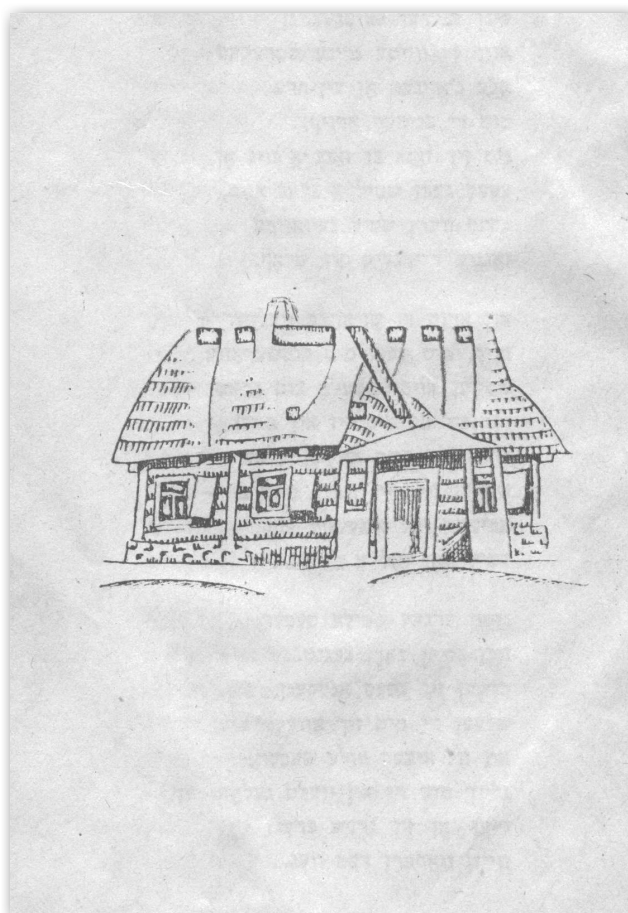
Świszczą bicz, rżą koniki,
jakby już się pobratały,
prowadzi się je na przesłuchanie, –
nieśpiesznie, powoli;
przychodzą też postarzali Niemcy,
każdy z wystrzyżoną bródką,
umawiają się, targują się
i przyklepują ręce.

Pchają się, ocierają się o siebie,
patrzą koniom w zęby,
policzyć się, zapłacić,
zaraz potem idzie się do szynku;
„Zaprzęgnij tego do jazdy
ale bez bicza – jest stalowo-żelazny”,
wszyscy się naraz schodzą,
w szynku tańczą nawet ławki.

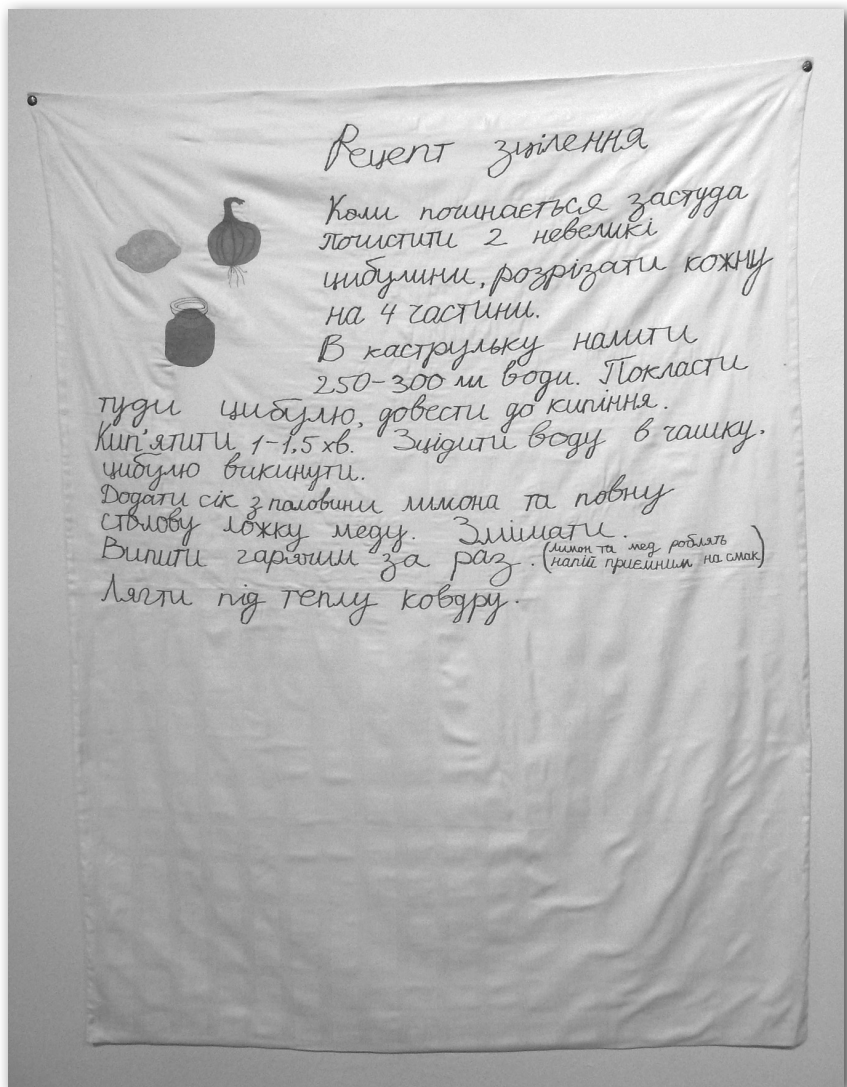
Za stolikiem z wodą
stoi spocony handlarz,
ze szklaneczek, z wążutkich,
pije słoną wodę i pluje;
„żar” – wścieka się z gorąca,

ktoś przychodzi do mokrego,
z gojem –
a woźnica już robi gdzieś geszeft.

Poemat opublikowany po raz pierwszy w roku 1919. Przekład z wydania drugiego (Oficyna Wydawnicza Centralnej Żydowskiej Organizacji Szkolnej, Wilno 1921). Ilustracje w tekście: Josef Czajkow. Egzemplarz udostępniony przez Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie.



Strona tytułowa warszawskiego wydania *Wołynia* Pereca Markisza (1921). Rys. Josef Czajkow



Wołodymyr Kuzniecowa, *Recepta na zdrowie*

Kiedy zaczyna brać przeziębienie, obrać 2 nieduże cebule, przekroić każdą na 4 części.

Do garnka nalać 250-300 ml wody. Włożyć tam cebulę, doprowadzić do wrzenia. Gotować 1-1,5 min.

Przededzić wodę do filiżanki, cebulę wyrzucić.

Dodać soku z połowy cytryny i pełną łyżkę miodu. Wymieszać. Wypić gorące duszkiem. Położyć się pod ciepłą koldrę. (Cytryna i miód robią napar przyjemnym w smaku).

Przełożyła z ukraińskiego Halyna Dubyk